CZWARTEK

O losach niezwykłych wynalazców str.5

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 110 21 WRZEŚNIA 1978 R CENA 1,50 ZŁ

PAŁAC MŁODZIEŻY PO PRZERWIE WAKACYJNEJ

WARSZAWA (HSI). 4 września rozpoczęły się zajęcia we wszystkich sekcjach i kołach zainteresowań warszawskiego Pałacu Młodzieży. Prowadzonych jest tu 40 pracowni i klubów. W tym roku popularne są wszystkie sekcje sportowe, choreografii oraz elektroniki, modelarskie i mechaniczno-komunikacyjne. Pod opieką 100 doświadczonych pedagogów rozwijać będzie swoje zainteresowania 8 000 dzieci i młodzieży. **(mi)**

NOWY SĄCZ (PAP). Na pięknej ziemi sądeckiej zostaną utworzone dwa parki krajoznawcze: popradzki i magurski o łącznej powierzchni 60 tys. ha oraz 50 tys. ha tzw. otuliny. W granicach obu parków znajdą się

BOGACTWA ZIEMI SĄDECKIEJ

liczne rezerwaty przyrodniczo-leśne, cenne obiekty kultury materialnej oraz zabytki architektury i budownictwa regionalnego. Parki odegrają rolę zarówno w ochronie przyrody jak i w dalszym turystycznym zagospodarowaniu województwa nowosądeckiego. **(ag)**

KRÓTKIE DZIECIŃSTWO

MADRYT (PAP). Ponad 280 tys. dzieci hiszpańskich w wieku do 14 lat pracuje zarobkowo, mimo że jest to zakazane przez istniejące w Hiszpanii ustawodawstwo.

Według danych, opublikowanych w hiszpańskiej prasie, 100 tys. dzieci pracuje w zakładach przemysłowych – tekstylnych i obuwniczych – oraz w hotelach w Madrycie. Dzieci te jako osoby nie objęte umową zbiorową mają zarobki zależne od woli pracodawców. Oczywiście, z reguły otrzymują znacznie mniejsze wynagrodzenie, niż dorośli, zatrudnieni na tych samych stanowiskach. Jak podkreśla prasa hiszpańska – aż ponad ćwierć miliona dzieci jest tu pozbawionych możliwości uczęszczania do szkoły! **(ag)**

Z RADZYNIA TRATWĄ NA WESTERPLATTE

BIAŁA PODLASKA (PAP). Mieszkaniec Radzynia Podlaskiego, pan Marian Kołtan, płynie do Gdańska na Westerplatte skonstruowaną przez siebie tratwą. Jest to jego 45 wyprawa nad morze. Pierwszą, kajakową – wraz z grupą harcerzy z Brześcia – odbył w roku 1933. Do swego wodniackiego hobby wrócił dopiero po latach, kiedy jako emerytowany nauczyciel z Łukowa zaczął budować z tamtejszą młodzieżą swój pierwszy, oryginalny wehikuł. Pana Mariana zafascynowała myśl zbierania eksponatów z miejsc pamięci narodowej. Taki też cel miała jego wodniacka wyprawa w 1970 r. Pod pamiątkowym czołgiem na Westerplatte jej uczestnicy złożyli urny z ziemią z pól bitewnych Lubelszczyzny i Majdanka. **(ach)**

KAZACHSTAN (PAP). Uczeni radzieccy na podstawie licznych i długotrwałych badań stwierdzili występowanie pod pustynnymi obszarami Kazachstanu olbrzy-

Morze pod pustyniami Kazachstanu

mie ilości słodkiej wody. Zajmuje ona powierzchnię aż 1,8 mln metrów kwadratowych. Woda ta została już udostępniona 50 ośrodkom przemysłowym Kazachstanu. **(kż)**

Żeby było bezpieczniej

SŁUPSK (HSI). Wydział Ruchu Drogowego KW MO i Kuratorium Oświaty i Wychowania podjęły tu doroczną akcję „Bezpieczna droga dziecka do szkoły". Celem tej akcji jest zapewnienie bezpieczeństwa dzieciom w drodze do szkoły, na terenach przyszkolnych, objęcie opieką pierwszoklasistów, czuwanie nad prawidłową organizacją dowozu uczniów. Organizowane są spotkania z młodzieżą, na których funkcjonariusze MO informują o podstawowych zasadach bezpiecznego poruszania się po drogach i ulicach. **(mi)**

Zobaczyć kajmana...

LUBLIN (HSI). Na podzamczu w Lublinie pojawił się barokowóz z egzotycznymi, pięknie namalowanymi na ścianach zwierzętami. To goście z Bratysławy na zorganizowanej przez Stołeczne Biuro Imprez Artystycznych „Estrada" w podróży po Polsce. W Bratysławie od kilku lat działa klub, którego członkowie co roku wyruszają na bezkrwawe łowy do Afryki, Ameryki, na wyspy Pacyfiku oraz w inne zakątki świata. Sprowadzone zwierzęta są przekazywane do ZOO, a wiele z nich podróżuje po świecie. W domku na kółkach można zobaczyć krokodyle, kajmany, żółwie, jaszczurki. Były one już na Węgrzech, we Francji, Rumunii, a teraz można je oglądać w Polsce. Okazy prezentowane w Lublinie pochodzą z Boliwii, Tanzanii, Wenezueli, z wysp: Borneo i Sumatry. Dodatkową atrakcją jest możliwość dokładniejszego obejrzenia wyjętego z klatki okazu. **(d)**

Fot. **Jerzy Dzikowski**

UWAGA, DRAPIEŻNIK!

Ilekroć przychodzi do Klubu Ptakolubów nieco grubszy list, jeszcze przed otwarciem go mamy pewność, że znajdzie się w nim chociaż wzmianka o ptakach drapieżnych. Każdy nasz tekst na ich temat wywołuje u czytelników wyraźny oddźwięk, zwykle większy, niż teksty o innych ptakach. I nie jest to przypadek. W coraz szerszym kręgu ludzi zainteresowanych życiem ptaków o skrzydlatych drapieżnikach mówi się szczególnie dużo, a rozmowom na ich temat towarzyszy najwięcej emocji. Ten czy ów przyznaje, że drapieżniki są dlań przedmiotem zainteresowań samym w sobie. I nie ma w tym nic złego.

CIĄG DALSZY NA STR. 6

Fot. **T. Kłosowski**

O tym warto wiedzieć

ŚMIGŁOWCEM NA RYBY

Nie, to wcale nie jest żart. Możliwości techniczne śmigłowców, a przede wszystkim zdolność do startów z niewielkiej platformy, mała prędkość i pułap lotu sprawia, że już w najbliższych latach maszyny tego typu staną się znakomitym pomocnikiem rybaków. Nasz kraj już od szeregu lat należy do ścisłej czołówki producentów statków rybackich. Nic więc dziwnego, że jednych z pierwszych prób wykorzystania śmigłowców do połowu ryb morskich dokonano w Polsce.

W Stoczni Północnej w Gdańsku wyposażany jest obecnie w urządzenia pokładowe statek rybacki – tzw. supersejner. Jest to niezbyt duża jednostka, ma około 2 tys. ton nośności, a jej długość nie przekracza 90 metrów. Nowy statek przeznaczony jest do połowu tuńczyków, bardzo cennej oceanicznej ryby wymagającej jednak stosowania specjalnego sprzętu rybackiego. I właśnie do połowów tuńczyków wykorzystany zostanie śmigłowiec. Startując z pokładu supersejnera dokona on zwiadu na dużych połaciach oceanu poszukując ławic ryb. Supersejner prowadzony przez śmigłowiec zbliży się w pobliże stada, a następnie z jego pokładu spuszczonych zostanie kilka szybkich łodzi motorowych. Przeprowadzą one ,,nagonkę" i okrążą ławicę specjalnymi sieciami o długości 2 kilometrów i wysokości 250 metrów.

Na nowym statku rybackim, który w najbliższych miesiącach wyruszy w pierwszy rejs, zastosowano unikalną technologię przerobu tuńczyków. Gwarantuje ona długotrwałe przechowywanie ryb bez uszczerbku dla ich wartości odżywczych i smakowych.

Podjęcie budowy supersejnerów (do końca 1980 roku nasza flota łowcza dysponować będzie 10 jednostkami tego typu) to kolejny przykład nowoczesnych i dostosowanych do zmian sytuacji na morzach i oceanach metod połowów. Już od kilku lat coraz bardziej kurczą się łowiska, z których mogą korzystać nasze statki. Znane są powszechnie decyzje wielu krajów świata, które rozszerzyły swoje strefy rybołówstwa do 200 mil. A na wielu łowiskach położonych daleko od wybrzeży ilość ryb zmniejsza się z każdym rokiem. Zmusza to nasz kraj do szukania nowych form działania floty rybackiej. Połowy tuńczyków są dla nas tym bardziej atrakcyjniejsze, że tę smaczną rybę można łowić na otwartych wodach oceanicznych, z dala od 200-milowych stref wyłącznego rybołówstwa krajów nadmorskich. (kp)

Nauki ścisłe na usługach sportu

OD RZEMIENNEJ PĘTLI DO POLIURETANU

- SZTUCZNA TRAWA NA PIŁKARSKICH BOISKACH
- TARTAN, TORAN, SOTAR I CO DALEJ?
- KOMPUTERY ZAMIAST TRENERÓW

Postęp techniczny w sporcie. Temat stary jak sam sport. Już w starożytności budowano dla biegaczy specjalne progi, dzięki którym uzyskiwali oni lepszy start; pięściarzom w celu zwiększenia skutków uderzenia nakładano na ręce odpowiednie rękawice; do oszczepów domontowywano rzemienne pętle, które lepiej osadzały drzewce w dłoni, a tym samym nadawały mu większą szybkość w momencie wyrzutu. Nawet dysk, ten pozornie najprostszy sprzęt lekkoatletyczny, przechodził swoją ewolucję.

W miarę upływu lat, proporcjonalnie do rozwoju nauk ścisłych, spotykamy w sportowym światku coraz więcej technicznych nowinek. Dzięki nim dawne rekordy seniorów stały się dziś przeciętnymi wynikami dla... młodzików. I tak pierwszy rekord olimpijski (Ateny 1896) w skoku o tyczce wynosił 3,30 m. Obecnie nikogo nie dziwi rezultat lepszy nawet o dwa metry. Ale pamiętać należy, że w tej dyscyplinie używano kiedyś tyczek jesionowych. Później nastała era tyczki bambusowej. Ta z kolei została wyparta przez metal. Wreszcie i on musiał ustąpić przed nowym wynalazkiem. Było nim włókno szklane. Fiberglassowa tyczka, dzięki swoim właściwościom katapultującym, wyrzuca zawodnika na wysokość dwóch pięter... Czy włókno szklane będzie ostatnim słowem naukowców? Na pewno nie. Tak samo zresztą jak wiele innych wynalazków stosowanych dziś w różnych dyscyplinach sportu.

Koniec z błotem na boiskach

Problem utrzymania w idealnym stanie nawierzchni stadionu nie od dziś jest w centrum uwagi gospodarzy sportowych obiektów. Szczególne powody do zmartwienia mają konserwatorzy boisk piłkarskich. Twarde ,,korki" w podeszwach butów zawodników bezlitośnie niszczą każdą trawę. I nawet najtroskliwsze zabiegi pielęgnacyjne nie przynoszą spodziewanych efektów.

Kibice piłkarscy nieraz oglądali rozgrywane podczas deszczów mecze, zawodników unurzanych w błocie do tego stopnia, że z trudem można rozpoznać kto jest kto. Ale nie wygląd sportowców jest tu najważniejszy. Stadion zamieniony w bajoro wypacza przebieg gry, akcje i gole stają się raczej dziełem przypadku, a piłka wyczynia istne harce.

Jest jednak szansa, że wkrótce znikną z boisk tego typu obrazki. Naturalną murawę zastąpi sztuczna. Już w 1966 roku położono taką nawierzchnię w Houston, w ośrodku kosmonautów amerykańskich. Od tamtego czasu ,,Astro Turf", bo tak nazywa się syntetycznie otrzymywana trawa, zrobił błyskawiczną karierę. Wyłożono nim kilkaset obiektów, między innymi halę ,,Spartaka" Moskwa i boisko treningowe ,,Ajaxu" Amsterdam. Jak dotychczas, spisuje się on znakomicie.

Na pierwszy rzut oka sztuczna nawierzchnia niczym nie różni się od naturalnej. Nylonowe włókna są koloru zielonego, mają wysokość 13 cm i idealnie imitują źdźbła trawy. Jako ciekawostkę warto podać, że na 1 cm^2 jest ich aż 134. ,,Astro Turf" kładzie się na zmieszany z kauczukiem asfalt, co zapewnia płycie odpowiednią elastyczność. Sztuczna trawa jest odporna na zmiany temperatury, na wodę i buty piłkarzy. Do jej konserwacji wystarcza... odkurzacz.

Szybkie dywany bieżni

Od igrzysk olimpijskich w Atenach aż do podobnej imprezy w Tokio, a więc przez okres niemal 70 lat, lekkoatleci biegali po torach żużlowych lub, jak to miało miejsce na stadionach Australii i Nowej Zelandii, trawiastych. Nie zawsze z przyczyn obiektywnych można było rozgrywać zawody na tego typu boiskach. W okresie międzywojennym w ZSRR i USA zaczęto budować bieżnie z tworzyw organicznych. Czyniono też próby z wykładzinami drewnianymi, ale i te, zwłaszcza po deszczu, również nie zdawały egzaminu. W końcu nastała era tartanu. On właśnie przyćmił dotychczasowe wynalazki. Trzeba przyznać, że lekkoatleci

Dziś każdy biegacz chce startować tylko na tartanie ▲

Elektrody mierzą puls sportowca. Wyniki przekazane zostaną komputerowi ▶

odnosili się początkowo do niego z wielką rezerwą. Dopiero meksykańskie igrzyska (1968) udowodniły, że poliuretanowe tworzywo zdobyło sobie uznanie.

Amerykanie krótko cieszyli się z monopolu na produkcję tartanu. W laboratoriach innych państw powstawały równie doskonałe nawierzchnie. Powszechny stał się rekotan produkcji RFN. Ale skoro wspomnieliśmy o tartanie, warto zaznaczyć, że mieliśmy go już dziesięć lat temu na stadionie warszawskiej ,,Skry". Równolegle nasi chemicy poszukiwali własnych rozwiązań. Polski toran, którego głównym składnikiem była zmielona guma, pojawił się najpierw w łódzkiej hali, a lator, produkowany w oparciu o mleczko kauczukowe, pokrył obiekty Bydgoszczy i Warszawy. W naszych pracowniach powstał też rodzimy tartan zwany sotarem.

Wszystkie te nawierzchnie ulegają ciągłym doskonaleniom. Bardziej twarde i sprężyste kładzie się dla sprinterów, inne dla biegaczy długich dystansów czy skoczków. Dziś każdy wyczynowiec chce startować tylko na tartanie. Oczywiście będzie tak do momentu, kiedy światło dzienne ujrzy kolejny, jeszcze doskonalszy wynalazek. Wtedy i tartan, jak obecnie bieżnia żużlowa, przejdzie do lamusa.

Komputer na etacie trenera

Współczesny komputer, jak twierdzą niektórzy, wynalazł w... XIII wieku hiszpański misjonarz, Rajmund Lullus. Pragnąc pokonać przeciwników chrześcijaństwa, którzy wątpili w prawdziwość głoszonych przez niego nauk, próbował on skonstruować maszynę zdolną do wyciągania logicznych wniosków. Misjonarz uporządkował dogmaty chrześcijańskie, a następnie wszystko to starał się przekazać maszynie. Oczywiście cały zamiar był w tamtych latach zwykłą utopią. Dopiero logika matematyczna plus technika obecnego stulecia pozwoliły naukowcom urealnić plany Lullusa.

Dziś komputery i maszyny cyfrowe stały się domeną wielu dziedzin życia. Swoje zastosowanie znalazły również w sporcie.

Podczas ubiegłorocznych zawodów lekkoatletycznych o Puchar Świata, rozgrywanych w Düsseldorfie, działacze sportowi RFN poinformowali dziennikarzy, że w Kolońskim Instytucie Kultury Fizycznej już od sześciu lat pracuje cały system komputerów wyławiających talenty do wszystkich dyscyplin. Szczegółów nie ujawniono. Ale postęp, jaki obserwuje się od niedawna u sportowców RFN, jest dowodem, że pamięciowo-cyfrowe maszyny nie próżnują.

Podobna aparatura, co tu ukrywać, działa także w Japonii, Francji, NRD, USA, w ZSRR, a także i w Polsce. Przeprowadza ona nie tylko sportową selekcję. Z uzyskiwanych przez maszyny wyników korzystają lekarze klubowi, trenerzy i sami zawodnicy. Na ich podstawie można ustalić np. cykl szkolenia sportowca, stwierdzić wydolność organizmu człowieka, wyznaczyć granice jego osiągnięć. Komputery ,,mówią" też, że już wkrótce lekkoatleci będą skakać w dal powyżej 9 m, o tyczce 6 – 6,50 m, wzwyż 2,60 m. Ma to być kres ludzkich możliwości? Ile w tym prawdy? Komputer bierze przecież pod uwagę tylko współczesne osiągnięcia techniki. A co będzie za lat 50?

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI
Fot. **CAF i archiwum**

Przygotowałem książki i 18 złotych w szkle

Pewnego dnia na drzwiach klatki schodowej mojego bloku pojawił się olbrzymi plakat. Ogromne, jaskrawe litery krzyczały: Uprzejmie zawiadamiamy, że w dniu... harcerze z n-tej Drużyny Harcerskiej organizują zbiórkę makulatury i innych surowców wtórnych. Uzyskane pieniądze zostaną przeznaczone na zakup sprzętu turystycznego dla naszej drużyny. Za okazaną pomoc serdecznie dziękujemy. Podpisano: n-ta Drużyna Harcerska.

Wszyscy lokatorzy mojego bloku chcąc nie chcąc zapoznali się z tym ogłoszeniem. Od razu też większość z nich rozpoczęła w swych mieszkaniach poszukiwania zbędnych gazet, książek czy też opakowań szklanych, za które można otrzymać zwrot kaucji. Ja sam skoczyłem do piwnicy i przyniosłem stos zdezaktualizowanych podręczników, które po odkurzeniu związałem sznurkiem konopnym, aby ułatwić zadanie harcerzom. Ale to nie wszystko, co przygotowałem dla harcerzy. Zamierzałem ofiarować im także dziewięć opakowań szklanych po soku jabłkowym, który tylko raz pojawił się w naszym osiedlowym sklepie i nikt później nie chciał wziąć ich ode mnie, twierdząc, że ,,tego" to u nich nie było.

Tak więc przygotowałem dla harcerzy książki i 18 złotych w szkle. A co inni sąsiedzi na to?

Bardziej nerwowi, znalezione gazety i inne papierowe surowce wtórne poczęli wykładać na klatkę schodową. A bo to harcerze mogą ich nie zastać w domu. Wystawiono też butelki, które skrzętnie wyzbierała chodząca rano mleczarka, tłumacząc się później, że to z przyzwyczajenia. Jednak po południu w dniu, w którym zapowiedzieli swoją obecność harcerze, znowu pojawiły się obok makulatury szklane opakowania.

Pani Eugenia, która mieszka na parterze i jest już na emeryturze, nie wytrzymała i biorąc swoją paczkę, złożoną z dwumiesięcznej twórczości ,,Ekspresu Wieczornego" wyszła przed blok na ławeczkę. Napięcie dochodziło do zenitu. Ale minęło popołudnie, zrobiło się ciemno, a zielonych mundurków ani widać, ani słychać. Na klatce leżały nie tknięte paczki makulatury i takie same opakowania szklane. Nastał dzień następny, w którym spodziewano się spóźnionych harcerzy. Pani Eugenia już bez gazet wyruszyła na teren osiedla rozpytywać, czy też gdzieś nie widziano harcerzy. Ale wróciła z wiadomością, że nie widziano. Tymczasem już nie mleczarka, ale ktoś bliżej nie zidentyfikowany zabrał wszystkie butelki przeznaczone dla harcerzy. Zrobił też straszny nieporządek z gazetami. Porozrywał sznurki w poszukiwaniu kolorowych tygodników.

Minął dzień trzeci, także bez harcerzy. Czwartego dnia, słysząc głośne pomruki niezadowolenia gospodarza bloku, pani Eugenia pośpieszyła do pobliskiej szkoły, słusznie sądząc, że tam znajdzie harcerzy.

Na przerwie spotkała opiekuna harcerzy i wyjawiła mu swój problem: ,,Tak to my. Przykro nam z tego powodu. Chcieliśmy, ale w ostatniej chwili zabrakło nam ludzi. Jednak jutro już na pewno przyślemy ekipę, która zbierze to wszystko, co dla nas przygotowano. A w ogóle to przesunęliśmy termin generalnej zbiórki surowców wtórnych od dziś za miesiąc".

Pani Eugenia wróciła do domu z mieszanymi uczuciami. Następnego dnia, już mniej wyczekiwani harcerze – także nie pojawili się. Pewnie znowu zabrakło im ludzi.

W ostatnim dniu tej historii, prym wodził gospodarz domu. Złorzecząc ,,zielonym", sprzątał porozrzucane po całym bloku gazety. Gdy go mijałem, powiedział, że już więcej tych ,,zielonych" na teren swojej posesji nie wpuści. A jak się będą ogłaszać, to im ten papier zerwie.

A ja sobie tylko pomyślałem, jeżeli taki zawód jak nas, spotkał mieszkańców wszystkich kilkunastu bloków na osiedlu, to czy ktoś jeszcze zechce szukać dla harcerzy papierowych i szklanych złotówek?

KRZYSZTOF ŻAK

Miesiąc w wiosce dziecięcej

MÓWIMY INACZEJ, RÓŻNIE WYGLĄDAMY, ALE JESTEŚMY BARDZO PODOBNI

Podczas miesięcznego pobytu w wiosce CISV tworzyli jedną wielką rodzinę

Ewa wyobrażała sobie wioskę CISV jak nasze kolonie: duża sala, metalowe łóżka...

Pierwsze zdziwienie – wprawdzie wioska mieściła się poza miastem, ale za to w XIX-wiecznym pałacu.

Drugie zdziwienie – sala pałacowa, w której urządzono sypialnię, była poprzedzielana drewnianymi ściankami, tak że każda dziewczyna miała swój pokoik.

Zdziwień było więcej, aż do wyjazdu. CISV jest dosyć specyficzną organizacją. Jej pełna nazwa brzmi Dziecięca Międzynarodowa Wioska Letnia. Założycielem CISV był amerykański psycholog D.T. Allen, który w 1951 zorganizował pierwszą wioskę. Dziś organizacja zrzesza około 50 krajów. Należy do niej również Polska, Czechosłowacja i Rumunia. CISV działa pod patronatem UNESCO.

Z programu CISV: *„Co roku organizujemy wioski w różnych krajach. Dzieci uczestniczące w wioskach mają 11 lat i przebywają tam 4 tygodnie. Dzień po dniu dzieci poznają się bliżej, zdobywają wspólne doświadczenia i mimo różnic narodowościowych, rasowych, językowych, kulturowych i religijnych dochodzą do wniosku, że te różnice są mniej ważne wobec tego, że zawiązują się przyjaźnie".*

W jednej z wiosek CISV zlokalizowanej w pobliżu francuskiego miasta Chambery przebywali w tym roku: Ewa, Monika, Marek, Sławek i starsza od nich Dorota.

– Wiedziałam z przysłanego wcześniej programu, że będą tam dzieci z 13 państw – mówi Ewa. – Na wszelki wypadek ciocia podyktowała mi parę słów po francusku. Myśleliśmy, że sobie damy jakoś radę w piątkę. Będziemy się trzymać razem. Niestety, ledwie zajechaliśmy, akurat na śniadanie, a już komendant rozdzielił nas do różnych stołów. Dziewczyny, z którymi miałam mieszkać zaniosły mi bagaże, pokazały moje łóżko. Z każdego kraju było 4 dzieci, każde z nich mieszkało w innym pokoju. My też nie mogliśmy być razem. Pożegnałam się z Moniką. Trudno. Najgorsza była pierwsza noc. Wszyscy się poło-

CIĄG DALSZY NA STR. 4

PRZEJAŻDŻKI PEGAZEM

Wakacyjny Konkurs Poetycki rozstrzygnięty!

Z CZEGO SIĘ ŚMIEJECIE?

W naszym letnim konkursie „Pegaz dęba" wzięło udział 256 Czytelników przysyłając ułożone przez siebie dowcipne powiedzonka, wierszyki i poematy. Czytając je, nie kryję, byłem nieco rozczarowany. Okazuje się bowiem, że nie wszyscy z Was mają poczucie humoru. Tym wyżej je więc cenić należy u autorów drukowanych tu wierszyków: u Marzeny Chodor, Joli Bojczuk, Violetty Gąsior, Agnieszki Krzywonos, Violetty Iwosa, Lucyny Pściuk, Eli Sikory, Jurka Chmielowskiego, Jacka Dobrzynieckiego, Tomasza Mazurka i Jurka Stachurskiego. Zgodnie z umową wysyłam im pocztą znaczki Przejażdżek Pegazem oraz nagrody: książki współczesnych polskich satyryków i komplety kolorowych flamastrów.

„Z czego się śmiejecie?" – zapytałem w tytule. Odpowiedź znajdziecie czytając utwory naszych laureatów, do czego serdecznie zachęcam.

JULEK

Piątki nie czynią człowieka, choć mu portret malują.

***

Nauczyli Jasia mnóstwa mądrości,
ale j a k o ś ć zgubili w i l o ś c i .

***

„Pójdź dziecię, ja cię uczyć każę"
– aż wyrośnie z ciebie karzeł.

***

Wciąż marzę
... o zamiarze.

***

Sprzedasz siostrę, kupisz brata,
aby ślizgiem dojść do fiata.

***

Zarobił grosze dwa
na sprzedaży swego „ja".

***

Krasnoludki, czy już wiecie?
– d o b r z y l u d z i e są na świecie!

***

By z góry nie zlecieć na łeb... zwichnął nogę.

***

Chciał być Romeem, a gdy Julię odnalazł, został Otellem.

Lucyna z Olszanicy

***

Nie mydl komuś oczu, jeżeli nie wiesz, jakiego mydła używa najchętniej.

***

Najlepszą drogą jest ta, której jeszcze nie ma.

Jurek z Gdańska

UCZCIWA

Była bardzo uczciwa: ukraść nie umiała
– ale pożyczała i nie oddawała.

KONSUMENTKA

Mówiła, że rozumy wszystkie pozjadała
– ciekawe, czy je trawiła, czy tylko łykała?

PRZYJACIÓŁKI

Przyjaciółki wzorowe, chyba o tym wiecie,
tajemnice zdradzają w największym sekrecie.

Violetta z Trzebini

HISTORIA BARDZO SMUTNA

Świat jest zły i okrutny. Odtrąca nielicznych geniuszy.
Bezlitosną krytyką niszczy ich i kruszy.
A odepchnięte nieliczne talenty
Nie słysząc żadnych pochwał, ani słów zachęty
Więdną gdzieś w samotności lub tworzą w ukryciu
Na przekór własnym losom i ciężkiemu życiu!
Młodzian pewien o romantycznym imieniu Bartłomiej,
Co niezwykłych zdolności nosił w sobie płomień
Stworzyć pragnął swego „Pana Tadeusza"
– Tymczasem sił próbował na ścianach ratusza.
I dowcipną twórczością zdobiąc miejskie mury
Stał się wnet wzorem taktu, wdzięku i kultury.
I byłby nim do dzisiaj, gdyby nie przypadek:
Zajętego pisaniem pochwycił go dziadek,
A sprawiwszy wnukowi pasem tęgie lanie
Skazał go jeszcze na naczyń zmywanie!!!
Tak oto na boskim Parnasie, w domu Apollina
Braknie największego tego miasta syna,
Póki Eos – Jutrzenka nie oznajmi czasów,
W których nie będzie dziadków dozorców i pasów!

Marzena z Lublina

W SKLEPIE

Skłębiony tłum. Przy głowie głowa.
Trzepocą się w powietrzu ręce.
Ludzi tak dużo, a przybywa
wciąż nowych chętnych coraz więcej.
Co tu sprzedają? Może album
Memlinga lub Matejki Jana?
Może bilety do opery
na przedstawienie „Don Juana"?
Może obrazy sławnych mistrzów?
A może dzieła filozoficzne?
Ach, nie! Po prostu dostarczono
do sklepu dżinsy zagraniczne!

Jacek z Warszawy

PREZENT

Dostałam w prezencie pieska
małego, śmiesznego jamnika.
Przysłała go ciocia Tereska
w pudełku po starych guzikach.
Dawałam mu same łakocie,
a sama wciąż resztki zjadałam
i przeklinałam ciocię,
że taki mi prezent przysłała.
Gdy ja się krzątałam w kuchni,
rozkładał się na tapczanie
i pytał w swym psim języku:
„No, kiedy mi podasz śniadanie?"
A gdy mu znudziło się ze mną
pomimo tych wygód, łakoci,
wpakował mnie do pudełka
no, i odesłał do cioci!

Ela z Krępej

HUMOR W SZPONACH SATYRY

Śmieją się młodzi, cieszą się starzy,
rży Anglik, gdy herbatę parzy,
śmieje klown w cyrku stając na głowie,
bo wie najlepiej, że śmiech to zdrowie.
Niektórzy zamiast gimnastyki
śmieją się głośno w takt muzyki!
Wszystko się śmieje i głośno ryczy
– jedynie mnie to nie dotyczy.
Choć wokół mnie śmieje się każdy,
ja pozostaję poważny.

Jurek z Wrocławia

W LESIE

(fragment)

Jak pięknie jest latem w każdym polskim lesie:
czasem wiatr zbłąkany papierek przyniesie,
czasem grzyba ujrzysz pod puszką blaszaną
lub roślinkę jakąś gustownie złamaną.
Wśród liści ptaszęta zapewne śpiewają
– lecz cóż tam ptaszęta, gdy ABBĘ nadają?!

Jola z Wrocławia

LATAJĄCE TALERZE

Skąd to się bierze,
że pokazują się te talerze?
Zacznijmy od tego,
skąd przylatują
i w jaki sposób.
– No cóż, wiem na pewno:
nie z Ziemi. Z kosmosu.
A jak? A dlaczego?
– Tego nie wiem kolego.
Dowiedz się sam,
to opowiesz nam!

Violetta z Przemyśla

MÓWIMY INACZEJ, RÓŻNIE WYGLĄDAMY, ALE JESTEŚMY BARDZO PODOBNI

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

żyli, a ja wcale nie mogłam zasnąć. Strasznie się bałam – a jak mi tu będzie niedobrze? Może nikt mnie nie polubi?...

Na drugi dzień już o tym wcale nie myślałam, miałam pierwszą, upatrzoną koleżankę – Marię z USA, która spała naprzeciw mnie. Rano jej uśmiech dodał mi odwagi.

Dorota zna francuski, była tam m. in. w roli tłumaczki. Rzeczywiście niekiedy się przydawała (na przykład, gdy komendant podawał program dnia). Ale w bezpośrednich kontaktach wszyscy radzili sobie bez tłumaczy.

– Nie wiem jak Ewa rozmawiała z Amerykanką – mówi Dorota – ale już drugiego dnia przyszła do mnie i opowiadała, kim są rodzice Marii.

Całe to wielojęzyczne towarzystwo porozumiewało się w sobie tylko wiadomy sposób. A przecież byli tam oprócz Polaków młodzi Duńczycy, Francuzi, Anglicy, Amerykanie, Gwatemalczycy, Portugalczycy, Czesi, Włosi, Hiszpanie i Arabowie. Co kilka dni odbywały się lekcje języków obcych. Największy talent pedagogiczny miał szef grupy egipskiej. Pierwsza lekcja wyglądała tak: Abdelghani podszedł do tablicy, narysował z jednej strony dziewczynkę, z drugiej chłopca. Podpisał imionami: Mona i Ali. Stanął po stronie chłopca, skłonił się i powiedział: Sabahel hir Mona!, przeszedł na stronę Mony i odpowiedział: Sabahel nur Ali! Potem każdy z siedzących na lekcji w ten sposób przywitał się ze swoimi kolegami z lewej i z prawej strony. Od tej pory „sabahel" weszło do obozowego słownika, który po każdej lekcji powiększał się o wyrażenia i zwroty z wielu języków.

Każda z delegacji miała jeden dzień do swojej dyspozycji. Prezentowała wtedy tańce, pieśni, stroje, zwyczaje i dania narodowe, by przybliżyć pozostałym uczestnikom wioski swój kraj.

Z pamiętnika Ewy *„Dziś na obiad jedliśmy ryż zmieszany z ziarenkami jakiejś rośliny. To danie egipskie bardzo mi smakowało."*

Był też, oczywiście, dzień polski. Ewa zrobiła furorę śpiewając „Grę w kolory" z repertuaru „Gawędy". Nasza czwórka tańczyła krakowiaka. Dorota pokazywała przeźrocza z harcerskich obozów. Było mnóstwo atrakcji m. in. festyn sportowy na wesoło. Na kolację dziewczyny usmażyły 200 placków kartoflanych. Natarły się ziemniaków, napichciły, a gdy po pracy poszły na kolację, to nie było już ani jednego placka, został im tylko biały barszcz...

Oprócz zabaw, gier, pływania, śpiewania, nauki języków i innych zajęć w parku otaczającym pałac uczestnicy wioski poznawali okolicę – Alpy Sabaudyjskie. Jednego dnia wybrali się na 4-godzinną wspinaczkę do schroniska, obok którego stoczyli bitwę na śnieżki, bo był śnieg! Zwiedzali wytwórnię serów i win. Jeszcze więcej atrakcji dostarczył pobyt u rodzin francuskich w Chambery.

– Trafiłam do rodziny – wspomina Dorota – w której była moja rówieśniczka Brigitte. Porozmawiałyśmy sobie o naszych szkolnych sprawach, o klasie, nauce. Właściwie to mamy takie same problemy. Czułam się u nich jak u siebie w domu. Dziwiło mnie tylko, że tam wszyscy piją wino podczas posiłków.

Czas w Chambery upłynął jak z bicza strzelił. Ani się obejrzeliśmy, a tu trzeba było się zbierać do powrotu. Przedostatniego dnia spotkali się wszyscy w sali kominkowej. Björn z Danii, miał olbrzymie pudło z kartkami. Był listonoszem. Każdy mógł wysłać przez niego kartę do siedzących w sali swoich najlepszych koleżanek i kolegów. Björn miał dużo roboty, bo okazało się, że każdy ma wielu przyjaciół, których musi koniecznie pozdrowić.

Oglądam wspólnie z Ewą karty, które wtedy dostała. Pisane w różnych językach, nieraz z błędami-fonetycznie: Dear Eva I lave you. Nivan... To Ewa vrom Soha. Rimember my... Ewa! Ciao! Italien... Na pomątku Ewè – Radka.

Ewa opowiada z ożywieniem o każdym nadawcy. Tylko jedna kartka jest niewiadomo od kogo. Ktoś napisał na niej tylko „Eeiva". Może to Grek Dimitr, albo Darinka z Gwatemali? Ta kartka również jest w pamiętniku. Sięgnijmy do niego raz jeszcze:

„28.VII (...) po zabawie było ognisko. Zaczęło się wesoło, ale skończyło niefajnie. Prawie wszyscy się popłakali.

29.VII. Nie mogę patrzeć jak wszyscy się pakują i płaczą. Mnie też jest smutno. Dzisiaj po raz ostatni jemy wspólnie obiad. Niedługo się rozstajemy. Po powrocie do domu będę wszystkim opowiadała jak udany był ten mój pobyt we Francji."

Trudno wyjechać z wioski CISV. Jak stwierdził jeden z jej uczestników: **mówimy inaczej, różnie wyglądamy, ponieważ pochodzimy z różnych stron świata. Ale wewnętrznie jesteśmy bardzo podobni – właśnie to odkryliśmy w wiosce CISV.**

ANNA PACIOREK

Obiad u Karola

Nie każdy w dzisiejszych czasach ma zaszczyt być zaproszonym na obiad do króla. A jednak...

Spożyliśmy obiad „U Karola", bo tak nazywała się restauracja w miejscowości Karltštejn położonej na południowy wschód od Pragi, i znana jest nie z restauracji, ale zamku warownego wzniesionego na polecenie króla czeskiego i cesarza rzymskiego Karola IV. Stąd nazwa restauracji i nazwa osady. Obiad wprawdzie nie był królewski ale za to prawdziwą ucztą duchową było przebywanie na szacownych komnatach.

Zamek, otoczony rezerwatem przyrody, dominuje nad miejscowością swoimi rozmiarami i usytuowaniem na skale o wysokości 319 m. Niedostępność miejsca i dwumetrowe mury sprawiły, że nigdy przez nikogo nie był zdobyty. Ani przez husytów (w 1422 r.) ani przez Szwedów (w 1648 r.).

Plany zamku sporządzili pod osobistym nadzorem Karola IV, Mateusz z Arras i Piotr Parter. Kamień węgielny położony został w 1348 r. a parę lat później przebywał w nim już król. W zamku przechowywane były najcenniejsze dokumenty, klejnoty koronne i drogocenne relikwie, które Karol namiętnie zbierał. Zamek przebudowany był w XIV w. i restaurowany w XIX w., ale do dziś przechowały się pierwotne gotyckie wnętrza dwu kaplic.

Jedną z nich jest kaplica św. Krzyża (z 1365 roku), do której wstęp miał tylko Karol IV i jego przyjaciel, a także doradca – arcybiskup Pragi, Arnoszt z Pardubic. Ale i oni wchodząc tutaj zostawiali buty na zewnątrz. Kaplica zamykana była na 4 drzwi i 19 zamków, a mimo to pilnie ją strzeżono ze względu na znajdujące się w niej bogactwo. Sufit – pozłacany i ozdobiony, tak jak i ściany, drogimi kamieniami, jaspisami i ametystami, których jest tu aż dwa i pół tysiąca. W skrytce przy ołtarzu przechowywane były klejnoty koronne i relikwie świętych. Na ołtarzu znajduje się obraz Tomasza z Modeny, a wokół na ścianach – 127 malowideł wizerunków świętych w wykonaniu Mistrza Teodoryka. Wokół ścian – żelazne lichtarze dla 1300 świec.

Najwspanialszą i najbogatszą częścią zamku jest kaplica św. Krzyża

◀ *U podnóża zamku, obok sklepików z pamiątkami można zjeść obiad w restauracji „U Karola IV"*

Na uwagę zasługuje również kościół Panny Marii z rzeźbą Madonny, który dzisiejszy wygląd zachował sprzed 600 lat! Uzupełniony został jedynie organami pochodzącymi z XVIII w. Tutaj właśnie Karol IV miał zwyczaj zamykać się na parę miesięcy, a pożywienie i dokumenty wymagające królewskiego podpisu, a niecierpiące zwłoki, podawane były królowi przez specjalnie zamontowane okienko. Znajduje się w zamku również sala rycerska z drewnianym sufitem i drewnianą lampą w stylu gotyckim, Sala Luksemburska z wizerunkami ojca Karola IV – Jana Luksemburskiego i matki – Elżbiety Przemysławskiej. A także sypialnia króla, a obok żony, a właściwie żon, ponieważ miał ich aż cztery. Wśród nich były dwie Polki: Anna Świdnicka i Elżbieta Pomorska. 13-letnia Anna poślubiła 40-letniego Karola i zmarła po 9 latach małżeństwa pozostawiając mu syna – Wacława IV, Elżbieta zaś powiła syna, Zygmunta i zmarła 15 lat później niż król.

Postać Karola IV ma dla Czechów podobne znaczenie, jak dla nas Kazimierza Wielkiego. I jeden, i drugi pozostawili po sobie trwałe ślady niezwykłych budowli, które do dziś świadczą o ich wielkości i świetności.

(ew)

Fot. **St. Borowiecki**

Karlštejn, malownicze miasteczko, nad którym góruje masywna sylwetka nigdy nie zdobytego przez wrogów zamku

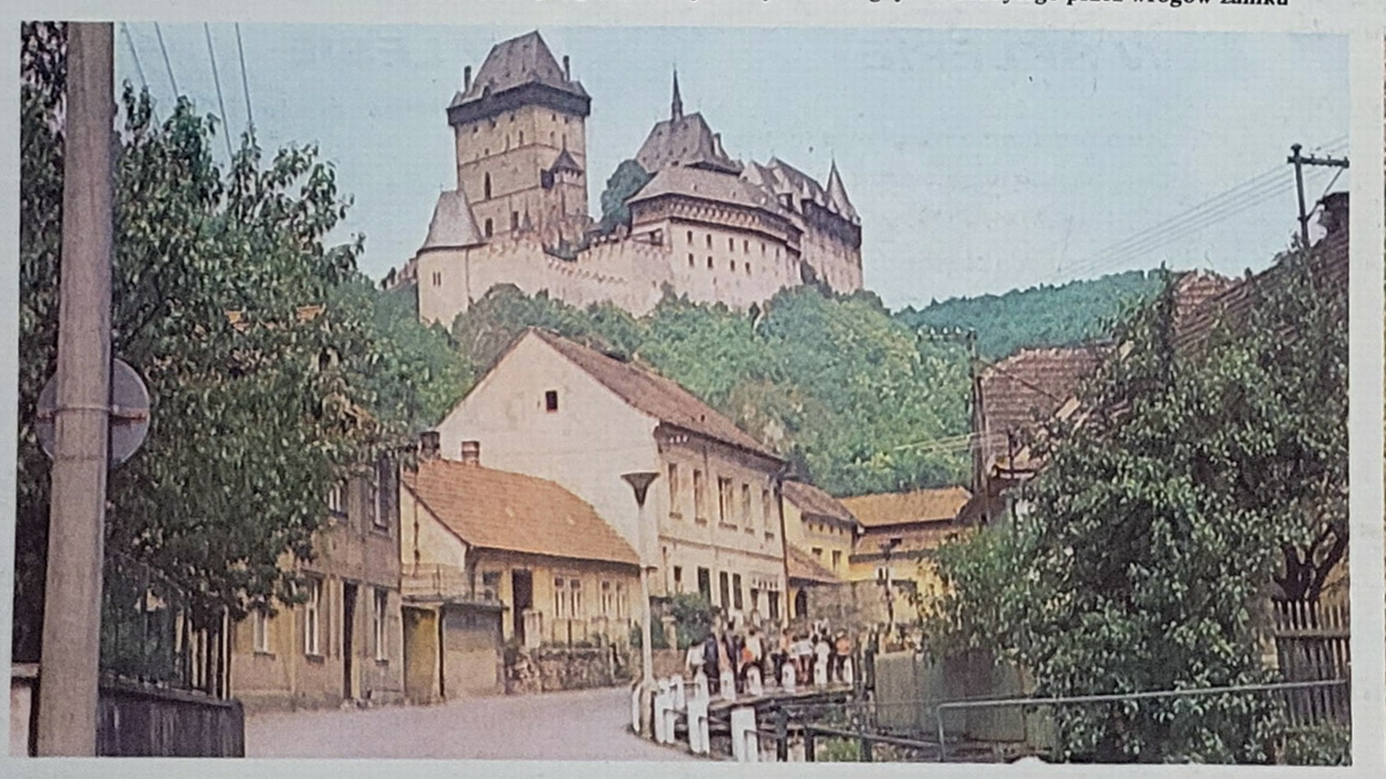

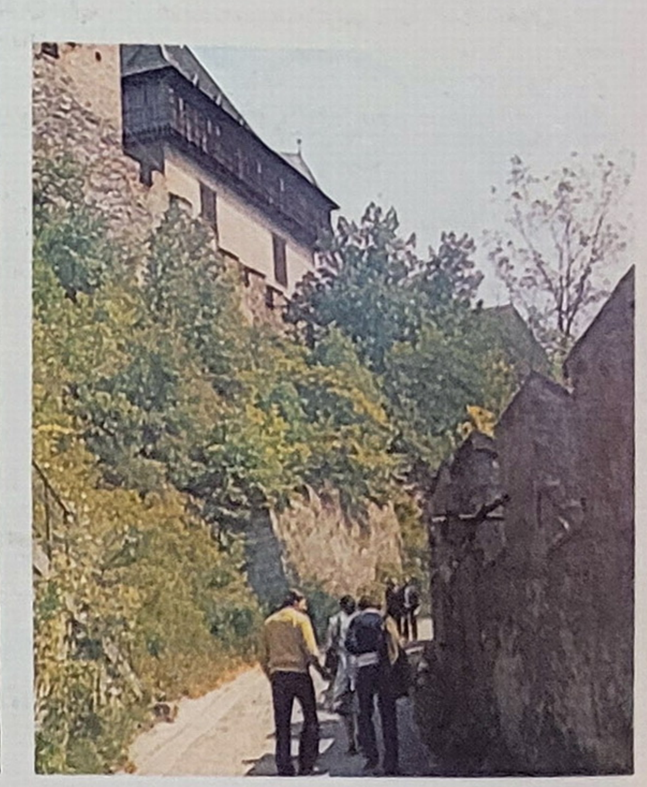

To urządzenie przypominające gigantyczną tubę staroświeckiego gramofonu miało zapewnić śpiącemu ciągły dopływ świeżego powietrza, bez konieczności otwierania okien. Nieliczni nabywcy skarżyli się jednak, że przeciąg istotnie jest, ale blaszany okap nad głową sprowadza koszmarne sny

I one były potrzebne...

ZWYKŁE LOSY NIEZWYKŁYCH WYNALAZKÓW

Niektórzy powiadają, iż rozwojem techniki kierują jakieś wielce przemyślne i rozumne siły, sprawiające, iż prawdziwe wynalazki oraz odkrycia pojawiają się zawsze dokładnie wtedy, kiedy zaczynają być ludziom naprawdę potrzebne – ani wcześniej, ani później. Tak rozumiana historia działalności techniczno-naukowej byłaby więc jednym ciągiem logicznych i zawsze niesłychanie mądrych ludzkich przedsięwzięć, których konsekwencja jest później nie do obalenia, gdyż jedne wynikają z drugich.

A tymczasem wcale tak nie jest, i całe szczęście...

Nie chodzi tu rzecz jasna o najprostsze i oczywiste zależności jak np. ta, że najpierw musiała zostać wynaleziona maszyna parowa, aby dopiero po jakimś czasie można było zbudować malowniczy parostatek pływający od lat na wszystkich rycinach przedstawiających Missisipi. Czyli że obowiązuje zasada – wpierw odkrycie fal radiowych, a dopiero w drugiej kolejności tranzystorek wrzeszczący latem przy uchu każdego plażowicza.

Historia współczesna plastykowego kubka i jego braci

Rozwój nauki i techniki to proces o wiele bardziej skomplikowany niż potoczne wyobrażenia o nim, pełen idei sprzecznych z sobą, często wzajem się wypierających, lub identycznych lecz powstających niezależnie od siebie, w różnych miejscach choć w tym samym czasie. W momencie gdy rodzi się jakaś nowa idea techniczna, prawie że niemożliwe jest przewidzenie jej dalszego rozwoju. W tych sprawach mylili się najwięksi przeceniając bądź niedoceniając, a najczęściej oceniając zjawisko zupełnie błędnie.

Ostatnio jesteśmy świadkami takiego właśnie generalnego odwrotu od pewnej zasady, która jeszcze nie tak dawno wydawała się niewzruszona.

Mam na myśli tworzywa sztuczne. Powstały one po to, by wyprzeć dotychczas używane tradycyjne materiały takie jak: drewno, żelazo, szkło, glinę, papier itp. Znudziły nam się gliniane kubki, szklane szyby, drewniane podłogi – ponieważ szybko ulegały zniszczeniu, postanowiliśmy wymyśleć coś niezniszczalnego. Zdawało nam się, że wtedy dopiero pozbędziemy się kłopotów. No i zaczęło się...

Sterty zużytych i niepotrzebnych już, ale absolutnie nie do zdarcia opakowań, obić meblowych, wykładzin, zabawek, naczyń, części maszyn – rosną wokół miast. Rozpaczliwe próby przerobienia jakoś tej masy, na coś znów przydatnego nie dają spodziewanych wyników, gdyż wymyśliliśmy już takie tworzywa, których nic nie ruszy – ani ogień, ani kwasy, ani młot pneumatyczny. Naukowcy całego świata prześcigają się więc znów, tym razem w opracowywaniu takich nowych tworzyw, które po pewnym czasie same się będą rozpadać. Kubek nim się znudzi – rozsypie się na kupkę czegoś, co przypominać będzie piasek albo ziemię. Przodują w takich pracach Amerykanie, Japończycy i Brytyjczycy. Przyznano już w ich krajach blisko sto patentów na tworzywa samozniszczalne. Jednym jest Byoplastic prof. Griffina z Wielkiej Brytanii, produkowany w postaci folii z dodatkiem skrobi. Rozpada się pod wpływem światła i powietrza...

Jaki będzie dalszy los tworzyw – zobaczymy. W każdym razie jak dotąd ich rozwój przebiega mocno krętymi drogami.

Spóźniona luneta i fotoaparat w meloniku

Jest jeszcze w sprawach, o których dziś mówimy coś, co najkrócej ujął, znany i w Polsce z publikacji, radziecki specjalista od wynalazczości – Henryk Altszuller. Pisze on tak: *„Częstokroć wynalazki spóźniają się „bez usprawiedliwienia", czasami trudno pojąć, dlaczego ten lub inny pojawił się tak późno..."*

Historia techniki dostarcza sporo przykładów na powyższe twierdzenie. Ot, pierwszy z brzegu: soczewki, a co za tym idzie i okulary, znane były na sześć wieków przed zbudowaniem teleskopu. Nie sposób w to uwierzyć, ale czekaliśmy ponad pół tysiąca lat, by komuś wreszcie przyszło do głowy, że można przez jedną soczewkę noszoną na nosie spojrzeć na drugą. I – co zawsze w tego typu sytuacjach dziwi najbardziej – przez cały ten czas istniało ogromne zapotrzebowanie na lunety. Nie tylko do oglądania gwiazd – co od kilku tysiącleci czyniono mozolnie, bo gołym okiem – ale choćby do celów wojennych. Wszak o wiele łatwiej wygrzmocić przeciwnika jeśli wcześniej obejrzy się go zza krzaka dokładnie, bo w zbliżeniu.

Inny przykład brzmi już wręcz humorystycznie. Oto przez 50 lat każdy silnik spalinowy chłodzony był wentylatorem – jak rok długi, nawet w czasie najtęższych mrozów. Wiekopomny wynalazek wyłącznika do tego urządzenia zastosowano po raz pierwszy dopiero w roku 1951!

Nie jest więc technika ciągiem li tylko konsekwentnych i przemyślanych przedsięwzięć...

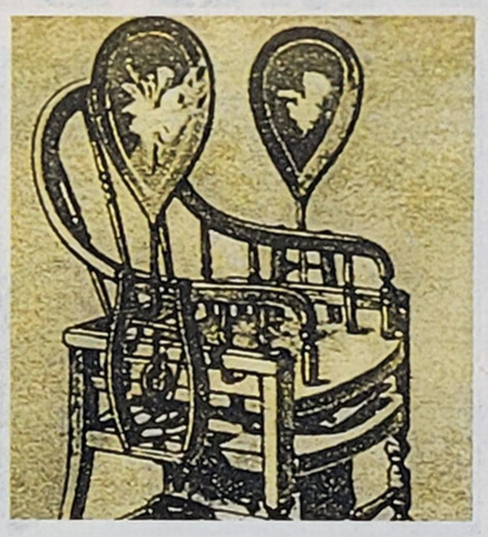

Wynalazek dla mdlejących przy każdej okazji – cb należało do dobrego tonu – kobiet epoki królowej Wiktorii. Gdy któraś oklapła na fotelu, automatyczne wachlarze rozpoczynały energiczne cucenie

Każdy zresztą kto próbuje wniknąć nieco dokładniej w jej dzieje zaczyna znajdować, ku swemu zaskoczeniu, coraz więcej zbieżności z ewolucją organizmów żywych, ewolucją, która przebiegała – jak dotąd – niezależnie od świadomej działalności człowieka. Tam i tu droga rozwoju usłana jest przykładami nieudanych, choć czasami dość długo trwający działań, których efekty zostały zarzucone, bądź z których wyraźnie zrezygnowano. W technice wymienić można by choćby żaglowe wozy, fotoaparaty ukryte w melonikach, czy – ostatnio – skutery. A że świat sławi tylko zwycięzców, o zwyciężonych zapomina się łatwo. Nieudane i niepotrzebne konstrukcje, maszyny, urządzenia najczęściej same się rozlatują, bądź szybko i brutalnie zostają przerobione na potrzeby nowych technik. Gdyby nie muzea, prywatni zbieracze i stara literatura patentowa – wszelki ślad by po nich zaginął...

A kiedy znajdujemy przypadkowo na

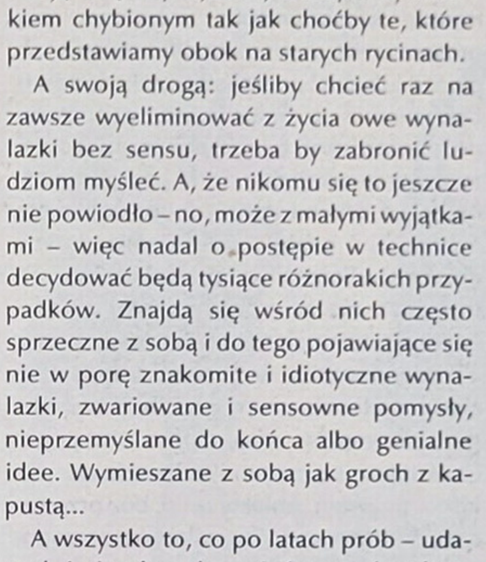

Takim oto wrotkom przepowiadano kiedyś, iż wyrugują z użycia nawet rower. Jednak mimo wysiłków wynalazcy, reklamującego własnonożnie swe dzieło – dwa kółka zwyciężyły i do dziś panują

strychu u dziadka jakąś fikuśną maszynkę – to wszyscy się zastanawiają: – do czego toto mogło służyć... Ach, do precyzyjnego obcinania knotów w świecach! Dziś nas śmieszy, ale kiedyś spełniała znakomicie swoją rolę i bynajmniej nie była wynalazkiem chybionym tak jak choćby te, które przedstawiamy obok na starych rycinach.

A swoją drogą: jeśliby chcieć raz na zawsze wyeliminować z życia owe wynalazki bez sensu, trzeba by zabronić ludziom myśleć. A, że nikomu się to jeszcze nie powiodło – no, może z małymi wyjątkami – więc nadal o postępie w technice decydować będą tysiące różnorakich przypadków. Znajdą się wśród nich często sprzeczne z sobą i do tego pojawiające się nie w porę znakomite i idiotyczne wynalazki, zwariowane i sensowne pomysły, nieprzemyślane do końca albo genialne idee. Wymieszane z sobą jak groch z kapustą...

A wszystko to, co po latach prób – udanych i nieudanych, uwieńczonych sukcesami i nierzadko tragicznych – zostanie ostatecznie zaakceptowane i wykorzystane z powodzeniem, będzie dopiero tego postępu widomym znakiem. I dość łatwo wtedy, mając przed oczami samo przysłowiowe ziarno odsiane od plew, można doszukiwać się w jego historii konsekwencji i prawidłowości.

Ale nawet i wtedy biblioteczny szperacz natrafia wśród kart zakurzonych foliałów na wiadomości wprawiające go w niekłamane zdumienie.

Oto jak dziwnymi drogami chadza niczym nieskrępowana myśl ludzka, zademonstrował w XVIII wieku opat pewnego francuskiego klasztoru, Jean A. Nollet, który zabawiał dwór królewski przepuszczając w refektarzu prąd przez kilkuset trzymających się za ręce zakonników. Gdy następowało wyładowanie butelki lejdejskiej, braciszkowie wrzeszczeli i wraz podskakiwali, a wtedy śmiechom wśród upudrowanych dam i kawalerów – specjalnie zaproszonych na to wesołe widowisko – nie było końca...

JERZY DĄBROWSKI

Reprodukcje **autora**

Zatrzymać lato

W Galerii Twórczości Plastycznej Dzieci i Młodzieży na warszawskiej Starówce we wrześniu można obejrzeć prace członków sekcji malarskiej MDK „Muranów" zgromadzone tu pod hasłem „Morzyczyn '78". Podczas letniego obozu w Morzyczynie nad jeziorem Miedwie próbowali oni w szkicach, grafice, akwarelach i malarstwie olejnym przedstawić krajobrazy pojezierza. Dzięki tym pracom powróciły wakacyjne wspomnienia – woda, żagle, wiejskie pejzaże...

Sekcja malarska MDK „Muranów" jest sławna ze swoich malarskich osiągnięć nie tylko w stolicy, a nawet nie tylko w kraju. Członkowie tej sekcji otrzymywali wyróżnienia i na międzynarodowych konkursach rysunków dziecięcych. Ale sposób na zatrzymanie lata, dobry nie tylko dla „artystów". Każdy może powspominać lato w zimowe wieczory przy pomocy kredki czy pędzla. Rysunek nie znajdzie się na wystawie, to nie – mała strata, a ile własnej przyjemności. **(ap)**

Fot. **Jacek Łopuszyński**

REDAKCYJNA POCZTA

Poradziłam sobie...

Jestem stałą czytelniczką „Świata Młodych". Chciałabym zabrać głos w sprawie listu Elżbiety z 83 numeru. Tego roku skończyłam siódmą klasę. Elżbieto, jestem w podobnej sytuacji co i Ty. Wyglądam podobno, dzięki nadwadze i wzrostowi, na dużo starszą niż jestem w rzeczywistości. Pewnego razu, ktoś stwierdził, że ja i mama jesteśmy bardzo podobnymi... „siostrami". Ucieszyłam się, że to na pewno mama tak młodo wygląda. Niestety, w pierwszych dniach kolonii koleżanki podśmiewały się, że jestem „wysoka jak brzoza, a głupia jak koza". Było to całkiem nieuzasadnione gdyż uczę się wcale dobrze. A nie można przecież sądzić ludzi po zewnętrznym wyglądzie i wyeliminować z kręgu przyjaciół tylko dlatego, że ktoś ma jakiś mankament urody. Uparłam się więc, że udowodnię, że nie jestem głupia. Udało mi się to tylko dlatego, że nie czekałam, aż się koleżanki przyjaźnie do mnie usposobią tylko działałam na własną rękę. Chętnie służyłam radą i pomocą. Włączałam się w życie kolonijne, brałam udział w konkursach i zawodach. Koleżanki mnie polubiły (z czego się cieszę i czego tobie życzę). W dniu pożegnania wszystkie miałyśmy łzy w oczach. Gdy wspomniałam początkowe dni kolonii – było im głupio. Może było to nietaktowne, ale chciałam aby zrozumiały, że nie należy się z nikogo wyśmiewać. Nadmierna tusza może być także wynikiem jakiejś choroby i wyśmiewanie się może dotkliwie zranić.

Ika

Moja dziewczyna też ma piegi

Moim zdaniem, Aniu, w ogóle nie masz powodu do „zalewania się łzami" z powodu piegów. Tak się składa, że od prawie roku mam dziewczynę z piegowatą buzią. Tyle tych piegów tam jest, że nawet nigdy nie starałem się ich policzyć Nigdy jednak nie zauważyłem, żeby popadała ona w kompleksy z tego powodu. Na brak towarzystwa, zarówno koleżanek, jak i kolegów, nie narzeka. Ma zaskakujące poczucie humoru i umie „znaleźć się" w towarzystwie. Potrafi się ładnie i gustownie ubrać, i bardzo ładnie tańczy. Jej uśmiechnięta twarz przyciąga niejeden wzrok. Nieraz spotykam się z pytaniem: „co ty w niej widzisz"? Dla mnie jest ona ładna i potrafi się podobać, jest moja. Nawet piegi nie są w stanie (jak widzisz) nic zmienić, nie są wcale „przekleństwem losu".

Janek z Malborka

Czy tylko siła jest ważna?

Mam piętnaście lat. Nauka idzie mi dobrze. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że... nie umiem się bić. Za to właśnie jestem nieustannie przez kolegów poniżany. Ale co ja zrobię, że kiedy dochodzi do „starcia", staję jak wryty i nie potrafię uderzyć! Koledzy często wykorzystują tę moją słabość. Nie należę do zaczepnych i nie znoszę przemocy. Czy tylko siła wiedzie w życiu prym?

Adam

OD REDAKCJI: Czekamy na wypowiedzi naszych czytelników, tak dziewcząt, jak i chłopców na ten temat. (wm)

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

TOYOTA 1000 STARLET

Japoński przemysł samochodowy jeszcze 12 lat temu prawie nie znany w Europie, stał się obecnie najpoważniejszym konkurentem europejskich potęg samochodowych. Japończycy, szczególnie w Europie, lansują bowiem modele samochodów dostępnych dla przeciętnej kieszeni. Liczebność nabywców tych samochodów będzie się jeszcze zwiększała, gdyż konstruktorzy japońscy postawili sobie w dziedzinie postępu technicznego dwa cele. Pierwszy z nich to zwiększenie atrakcyjności pojazdów przez zmniejszenie zużycia paliwa oraz przystosowanie ich do coraz surowszych norm dotyczących ochrony środowiska. Drugim celem jest stałe zwiększanie komfortu jazdy.

Przykładem tych rozwiązań jest nowy samochód koncernu Toyoty, oznaczony jako typ 1000 STARLET.

STARLET wytwarzany jest w dwóch wersjach nadwoziowych: z trzema lub pięcioma drzwiami. We wnętrzu samochodu mieści się pięć osób. Wyposażenie przestrzeni przeznaczonej dla przewozu osób i bagażu jest standardowe. Dźwignia zmiany biegów umieszczona jest w podłodze. Z przodu znajdują się dwa oddzielne fotele, z tyłu siedzenie typu kanapkowego, za którym zlokalizowana jest przestrzeń bagażowa.

Nadwozie samochodu posiada europejskie kształty z szerokimi zderzakami wykonanymi z elastycznego tworzywa sztucznego. We wnękach przednich zderzaków znajdują się światła kierunkowskazów. Okrągłe światła reflektorów umieszczone są w prostokątnych ramkach.

Silnik samochodu umieszczony jest z przodu, a napęd przenoszony jest na tylne koła. Silnik STARLETA jest czterocylindrowy, rzędowy, chłodzony płynem, posiada pojemność roboczą 993 cm sześc. i moc 47 KM przy 5800 obrotów na minutę i stopniu sprężania 9:1.

Dla trzydrzwiowej wersji nadwozia, samochód ten posiada czterostopniową skrzynię biegów, dla pięciodrzwiowej – pięciostopniową skrzynię.

Konstrukcja pojazdu oparta jest na samonośnym nadwoziu (bez ramy podwoziowej). Koła przednie zawieszone są niezależnie, tylne na wspólnej osi. Przy kołach przednich znajdują się hamulce tarczowe, przy tylnych bębnowe.

Wymiary pojazdu są następujące: długość 3725 mm, szerokość 1525 mm, wysokość 1380 mm, rozstaw osi 2300 mm, prześwit 105 mm (jest to przestrzeń mierzona od powierzchni drogi do najniżej położonej części pojazdu), ciężar wersji 3-drzwiowej 710 kg, pięciodrzwiowej – 725 kg.

STARLET osiąga prędkość maksymalną 140 kilometrów na godzinę, przyśpiesza od 0 do 100 km/godz. w 17,8 sekundy. Zużywa na 100 km przebytej drogi 7,3 litra paliwa (zużycie średnie).

ZENON DUTKIEWICZ

Fotografia przyrodnicza (40)

TRZYMANIE APARATU

Nawet w tych przypadkach, gdy zdjęcia wymagają dużej ruchliwości aparatu, należy sprzęt w miarę unieruchomić. Pomaga przy tym odpowiednia pozycja. Przyjrzyjcie się waszym kolegom: Pawłowi Ciborowi i Michałowi Bednarskiemu. Obaj interesują się fotografią i często robią zdjęcia przyrodnicze. Zajęci są wtedy tak, że nawet nie widzą, że... sami są fotografowani.

Fotografując przy pomocy teleobiektywów (w praktyce przy ogniskowej od 500 mm konieczny jest już statyw) czy z pierścieniami pośrednimi zmuszeni jesteśmy często zastosować czasy 1/60, 1/30 czy nawet 1/15. Powinno się więc zrobić wszystko, aby przynajmniej aparat o cięższym przy tych zdjęciach obiektywie, miał jak najmniejsze wahania. Prawe dwa zdjęcia pokazują sytuacje, w których zdjęcie może się udać. Lewe – co potwierdziło się po wywołaniu filmu – negatywy dały nie tylko nieostre, ale o obrazie wręcz rozmazanym. Widać z tego, jak ważną rolę odgrywa pozycja ciała, oparcie łokci o kolana, rozluźnienie mięśni (!) rąk i nóg.

Nieprzestrzeganie tych zasad będzie równoznaczne z marnowaniem bardzo dużej ilości klatek, drogich przecież filmów.

Wielu z was – zwłaszcza początkujących – powie, że potrafi aparat trzymać nieruchomo choćby i przez sekundę. Jest sposób, żeby to sprawdzić. W ciemnym pokoju w pudełku zamknąć jasno świecącą żarówkę (najwyżej 60 W). Zrobić mały otwór i spróbować wykonać zdjęcie tego jasno świecącego się punktu (film 27 DIN, przysłona 2,8, czas 1/15 sek., odległość 2 m). Doświadczenie przeprowadźcie dla różnych pozycji. Przekonacie się przy tym, że nawet gdy aparat wydaje się być nieruchomy, to... istnieje jeszcze puls w palcach. Ten minimalny ruch wystarcza, żeby zdjęcie było poruszone! Ci, którzy zajmują się filmem amatorskim, widzą efekty bicia pulsu na ekranie. Patrzącym wydaje się, jakby sekwencje kręcone były z kołyszącej się łódki.

Tekst i zdjęcia
MAREK OSTROWSKI

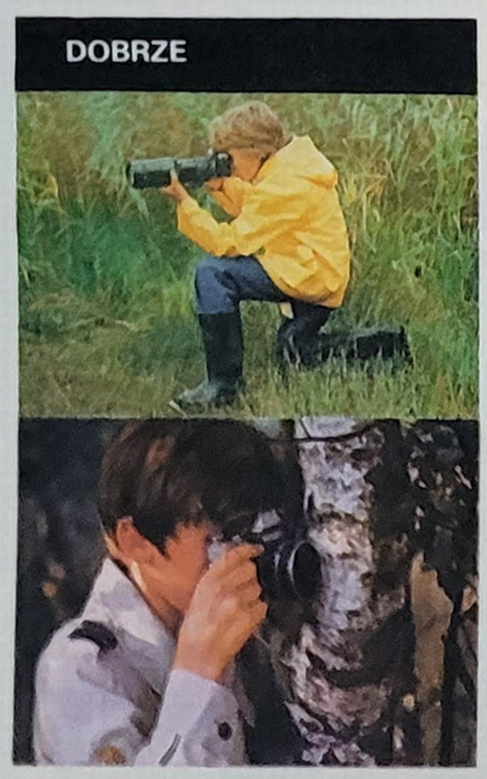

KLUB PTAKOLUBÓW Świata Młodych

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Wzmożone zainteresowanie zagrożonymi i ginącymi ptakami drapieżnymi miewa, owszem, niekorzystne konsekwencje, zwłaszcza, gdy przeradza się w gorączkę plądrowania ich gniazd lub chęć posiadania ptaka w domu i tresowania go. Takie zapędy są sprzeczne z przepisami o ochronie gatunkowej zwierząt (a wszystkie nasze ptaki drapieżne są już dziś na szczęście pod całkowitą ochroną!) i grożą zagładą najrzadszych gatunków. Szczęśliwie praktyki, o których tu mowa, nie są – przynajmniej u nas – zbyt rozpowszechnione. Z drugiej strony, – obserwowanie w naturze przedstawicieli tej właśnie grupy ptaków ma szczególnie korzystny wpływ na edukację początkującego przyrodnika. Przede wszystkim – pozwala, obiektywnie, bez przestarzałych, ale mocno utrwalonych antropomorficznych sądów spojrzeć na psychikę zwierząt i spostrzec, że to, co w nich rzekomo złe i okrutne, w istocie ze złem i okrucieństwem niewiele ma wspólnego. Bliższe poznanie drapieżników musi też zrodzić refleksję, że tradycyjny podział zwierząt na pożyteczne i szkodniki nie daje się utrzymać. Wreszcie – kto uważnie śledzi ich losy i postępującą zagładę, nie może przy okazji nie zrozumieć skutków chemizacji środowiska, skoro właśnie ptakom drapieżnym zagroziła ona najbardziej. Słowem – zainteresowanie ptasimi drapieżcami stanowi wcale niezły start do zainteresowań przyrodniczych pojmowanych szerzej, a poza tym ich podpatrywanie stanowi po prostu świetną szkołę obserwacji, żyją bowiem tajemniczo i skrycie, choć często bardzo blisko nas.

Dwa tygodnie temu przedstawiliśmy ciekawą obserwację ptaków drapieżnych nadesłaną przez Mirka Gawrona z Elbląga. Dziś prezentujemy kolejne, dość różne, zarówno tegoż autora, jak i jego kolegów wraz z paroma słowami o tym, co ciekawego z nich wynika.

UWAGA, DRAPIEŻNIK!

Jasne strony „czarnych charakterów"

W 1893 r. na łamach „Łowca" Wł. Spausta tak oto pisał o ptakach drapieżnych: *„Żaden z tych krzywodziobów i krzywoszponów nie może się przyczynić do poprawienia stosunków łowieckich, bo ród ten brzydzi się całą filozofią wegetaryanów i hołduje, podobnie jak całe nasze cywilizowane i oświecone społeczeństwo, ciągłym ofiarom krwawym. Tu nie ma żadnych pozorów, żadnych symbolów i misteryj, dziób i szpony szarpią wszystko, co żyje..."* Autor tych zdań najwięcej racji ma tam, gdzie pisze o ludziach. Ale z jego przekonaniami o roli ptaków drapieżnych w łowiectwie nie możemy już dziś się zgodzić. Przecież drapieżnik w łowisku – to selekcjoner, który odławiając osobniki słabsze (te łatwiej mu schwytać!) przyczynia się do poprawienia kondycji pozostałych oraz ich następnych pokoleń. Tylko że w czasach, gdy powstawał cytowany artykuł, rzadko kto brał to pod uwagę.

„Obserwując gniazdo myszołowa zauważyłem, że samica przyniosła młodym ptaka wielkości kuropatwy – pisze do nas Mieczysław Kiersnowski z woj. białostockiego. – *By nie płoszyć rodziny, nie podchodziłem blisko, więc nie wiem, co to był za ptak. Chcę zapytać, czy możliwe jest, żeby myszołów upolował tak dużą zdobycz, czy może był to osobnik słaby lub chory?"* Myszołów może upolować tak dużą zdobycz, mógł to być osobnik osłabiony, ale też i całkiem zdrowy, tyle że młody. Myszołowy chwytają ptaki dość często i myślę, że nie ma potrzeby tego ukrywać. A często chcielibyśmy to ukryć, by – odwrotnie niż cytowany Spausta – przedstawić ptaki drapieżne w jak najlepszym świetle. Tymczasem racje bytu myszołowa czy innego drapieżnika w łowisku są i tak w pełni uzasadnione, niezależnie od tego, czy chwyta on same myszy, czy też może trochę młodych zajęcy i kuropatw.

Napastnik w odwrocie

„Idąc przez las zauważyłem jastrzębia atakującego stado srok – pisze Mietek Kiersnowski. – *Upolowawszy jednego osobnika, poleciał na oddaloną o kilkaset metrów polanę. Idąc w tamtym kierunku, już z daleka usłyszałem dziwne odgłosy, podobne do cmokania i szeleszczenia. Gdy podszedłem bliżej, okazało się, że były to sroki. Nie dawały jastrzębiowi spokojnie zjeść zdobyczy, trącały go dziobami i odskakiwały na bok. Jastrząb nie był z tego zadowolony, bo po jakimś czasie odleciał, zostawiając do połowy zjedzoną srokę".* Kto często prowadzi obserwacje w terenie, wie, jak dobrym drogowskazem do kryjówki drapieżnika są okrzyki srok i innych krukowatych. Idąc za ich głosem, zwykle odkrywa się krogulca, sowę, lisa lub kunę, a w najgorszym razie... kota. Z przytoczonej obserwacji nasuwa się też wniosek, że zuchwalstwo jastrzębia, który w pogoni za gołębiem potrafi zapędzić się na podwórko lub nawet do stodoły, ma jednak swoje granice. Czasem i on musi uchodzić przed solidarnym atakiem mniejszych ptaków, nawet tych, które stanowią jego pożywienie.

O sokole – dzwonniku

O tym, jak blisko ludzkich siedzib mogą żyć i gnieździć się ptaki drapieżne, najlepiej świadczy list Mirka Gawrona. *„Dnia 21 III 78 na wieży kościoła Św. Mikołaja w Elblągu zauważyłem parę pustułek. Od tego czasu zacząłem obserwacje, poświęcając na nie co drugi dzień dwie godziny. 23 III pokazał się tylko samiec, który latał na polowanie i przynosił zdobycz, najczęściej mysz. Zjadanie jej zajmowało mu 3 do 5 min. Spożywanie ptaka, najczęściej łuszczaka, zajmuje mu ok. 5–10 min. 25 III pokazały się oba ptaki i przez pół godziny krążyły wokół wieży, po czym poleciały na polowanie. Zauważyłem, że gdy lecą polować na pobliskie budynki, wracają po 1–2 godz., a gdy dalej 2–3. Para sokołów poluje także w otworach wentylacji kościoła, które prowadzą na strych. Właśnie 27 III widziałem, jak ptaki siedziały koło miejsca, gdzie znajdują się dzwony, których dźwięk nic im nie przeszkadza. Po chwili samiec spikował nieco niżej, do otworu wentylacji. Po 15 min. wyleciał z niej trzymając coś w szponach, wzbił się wyżej i usiadł. Zaraz zleciała do niego samica i chciała zabrać mu zdobycz, ale odpędził ją groźnym piskiem i trzepotem skrzydeł. 29 III samica znikła, pojawiła się dopiero 2 IV, chyba znosiła już gdzieś jajka, nie wiedziałem jeszcze gdzie. Na kilka dni przerwałem obserwacje, żeby nie niepokoić ptaków. 16 IV zauważyłem, że samica wleciała pod kopułę na wysokości 45 m. A więc tam zapewne było gniazdo. Samiec nie dawał jeszcze samicy swojej zdobyczy, ale pomyślałem, że będzie jej dawał, gdy zacznie ona wysiadywać. 18 IV schwytał gołębia pocztowego przy oknie i tam go spożył. 26 IV widziałem, że zastąpił samicę w wysiadywaniu. 28 IV przyniósł coś w szponach i wleciał pod kopułę, a po 15 min. wyleciała stamtąd para pustułek. Pomyślałem, że w gnieździe są już młode. Od tej pory samica zawsze po opuszczeniu gniazda polowała, czasem też samiec oddawał jej swą zdobycz. Zauważyłem, że gdy jest zimno, samiec leci na peryferie, a gdy ciepło, poluje na pobliskich budynkach (wtedy prawdopodobnie wychodzą myszy). 4 V widziałem ptaki ostatni raz, więcej się nie pokazały. Może wypłoszyły je fajerwerki z okazji Dnia Morza, bo kościół ten znajduje się niedaleko Kanału Elbląskiego".*

Pustułkę nazywano kiedyś sokołem – dzwonnikiem. Jak widać, była to wcale trafna nazwa.

Czekamy na dalsze doniesienia z życia skrzydlatych drapieżców, a także innych drapieżnych zwierząt. Przesyłając je, dopisujcie na kopercie „UWAGA, DRAPIEŻNIK"

TOMASZ KŁOSOWSKI

Fot. **autora**

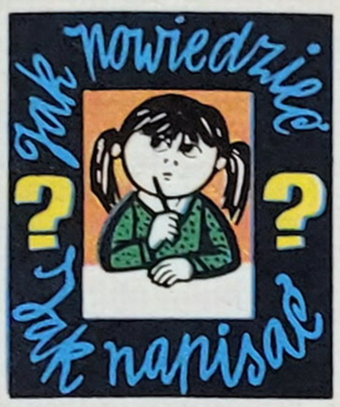

Mieszkam we wsi o nazwie Miedzna. Jak brzmi dopełniacz, celownik i miejscownik tego rzeczownika? Nie widzę Miedzny czy Miedznej? mówię o Miedznie czy o Miedznej itd.?
Majka z Miedznej (Miedzny)

Problem sprowadza się do tego, czy nazwę tę odmieniać jak rzeczownik czy jak przymiotnik. Jeśli jak rzeczownik, to trzeba by wybrać formy: **Miedzny, Miedznie,** o **Miedznie**. Jeśli jak przymiotnik – **Miedznej**. Reguła jest taka: nazwa miejscowości ma odmianę przymiotnikową wówczas, gdy w języku istnieje odpowiedni do niej przymiotnik będący w powszechnym użyciu. Nazwy takie jak **Kamienna, Piwniczna, Sucha, Jodłowa** traktowane są jak przymiotniki właśnie dlatego, że wzorem są dla nich (pisane już małą literą) wyrazy: **kamienna, piwniczna, sucha, jodłowa**. Natomiast nazwy, które mają budowę taką jak przymiotniki (bo kończą się na **-owa, -na**), ale nie znajdują poparcia ze strony odpowiednich przymiotników, gdyż takie po prostu nie istnieją, muszą być odmieniane jak rzeczowniki. Przykładem może tu być podwarszawska miejscowość **Jabłonna**. Mówimy mieszkam w **Jabłonnie**, a nie w Jabłonnej, ponieważ nie istnieje we współczesnej polszczyźnie przymiotnik „jabłonna". Z tej samej przyczyny jeździmy do **Częstochowy**, a nie do Częstochowej, jak również do **Jeziorny**, a nie do Jeziornej. (Miejscownik: **w Jeziornie**.)

Z powyższej reguły wynika, Majko, że **Miedzna** powinna mieć odmianę rzeczownikową, nie ma wszak przymiotnika „miedzna". Wiesz jednak, jak to z regułami bywa – są od nich odstępstwa. Skoro zatem zasada nie jest przestrzegana konsekwentnie, wyrocznią musi być coś innego. Językoznawcy uznali (i słusznie), iż o sposobie odmiany nazw miejscowości ostatecznie decyduje zwyczaj miejscowy, czyli to jak ludzie w okolicy częściej mówią. Nie byłam w Twojej wsi, więc nie będę się upierać, że mieszkasz **w Miedznie**, a nie **w Miedznej**. Popytaj sąsiadów, zwłaszcza tych starszych i zasiedziałych na tym terenie. Jeśli oni od lat mówią **o Miedznej**, to ten ich zwyczaj trzeba uszanować. I napisz do mnie, sama jestem ciekawa. A może uda Ci się ustalić pochodzenie tej nazwy?

Mam kilka „problemików". 1) Jak brzmi M. l. poj. wyrazu gofry? 2) Czy w zdaniu: „To nie uszło mojej uwagi", które często spotykam, nie powinno być „mojej uwadze"? 3) Czy wyraz „oczekuję" stosuje się w zdaniu z dopełniaczem czy z biernikiem? (czy w tym ostatnim z przyimkiem czy bez?)
Oczekuję odpowiedzi – ***Monika***

1) Nie słyszałam, w słowniku żadnym jeszcze gofra nie ma. Wiem za to, że po angielsku jest ten **gofer** – andrut. 2) Nie powinno, mówimy **„ujść uwagi"**. 3) Albo z dopełniaczem, albo z biernikiem, i wtedy z przyimkiem, oczywiście. Czyli: **oczekuję listu** lub **oczekuję na list**, ale tylko: **oczekuję od Ciebie listu**, a nie „oczekuję od Ciebie na list".

Wasza KROPKA

Autorką mego portretu tygodnia jest Marzena Podhajska

Redaguje
Włodzimierz Lewiński

Cześć!

Kaligrafia! Ileż trudu i mozołu wkładali wasi dziadkowie w ten przedmiot. Całe litry atramentu trzeba było wypisać, maczając co chwilę stalówkę, żeby posiąść sztukę kaligrafowania.

Otrzymałem właśnie list pełen jesiennej melancholii. Napisała go Marzena Podhajska, ale jak napisała! Pięknym, czytelnym i równiutkim pismem, mimo że posługiwała się zwykłym długopisem, a nie stalówką do kaligrafii. Cieszę się bardzo, że sztuka kaligrafowania jeszcze niezupełnie zaginęła i od dziś będę zamieszczał na łamach „Świata Młodych" fragmenty Waszych listów, pisanych pięknym pismem. Kto umie ładnie pisać niech stanie do konkursu! A oto, jako ilustracja, fragment rękopisu Marzeny:

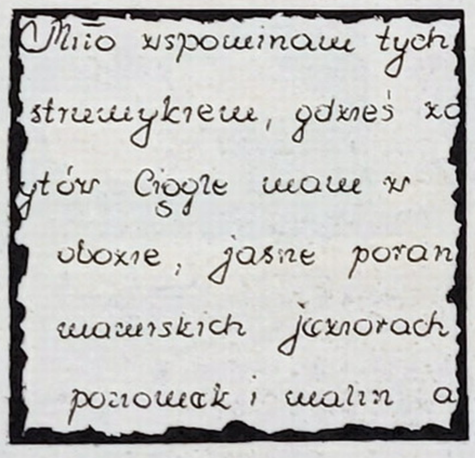
Mimo wspomnień tych
strasznych, gdzieś za
tów ciągle mam w
oknie, jasne poran
warszkich jesiorach
porowek i malin a

WIELBICIELE I WIELBICIELKI!

Wasz kącik zapełnia się ofertami:

... Jestem starszą czytelniczką „Świata Młodych". Bardzo dobrze rozumiem beznadziejnie zakochane dziewczyny. Masz rację, Rzepie najbardziej beznadziejna jest miłość do aktora, ale nic się na to nie poradzi, że prawie każda musi przez to przejść. Chętnie nawiążę korespondencję z młodszymi koleżankami – wielbicielkami Adama Nawałki i naszej reprezentacji na „Mundial", a także Roy'a Scheider'a.

Gabriela Komander
47-312 Rogów Op.
ul. Kościuszki 38

...Chętnie pomogę „złamanym sercom" w miarę moich możliwości. Uzbierało mi się niemałe archiwum najrozmaitszych informacji o naszych aktorach.

Beata Cicha
64-340 Grodzisk Wlkp.
ul. Chopina 22/32

PS. Może ktoś wie kto jest mężem E. Starosteckiej oraz kto – żoną K. Kaczora.

...Pochwalam wybór Jagody i Doroty. Nawałka i Iwan są śliczni! Adam Nawałka (ur. 23 X 57 r. 1,81 m 78 kg.) jest kawalerem, ale Andrzej Iwan (ur. 10 XI 59 r. 1,75 m 72 kg.) jest żonaty. W naszej reprezentacji na „Mundial" było jeszcze 2 kawalerów: Kupcewicz i Wójcicki.

Dorota Bartnik
11-100 Lidzbark Warm.
ul. Kasprowicza 18/5

PS. Ostatnio modny jest Andy Gibb.

Czekam na dalsze zgłoszenia chętnych do wymiany korespondencji Wielbicieli i Wielbicielki.

Do zobaczenia!

Wasz **Rzep**

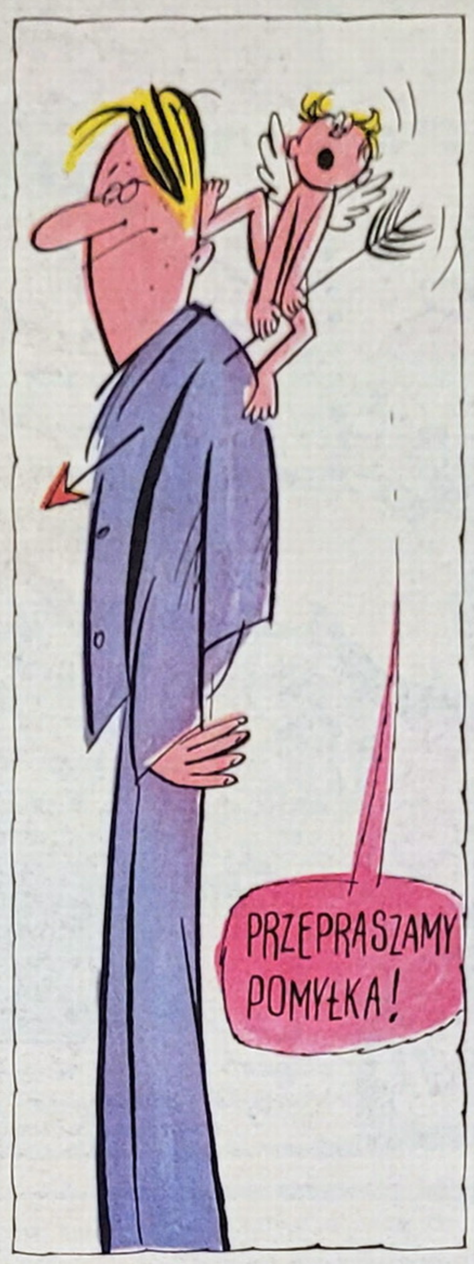

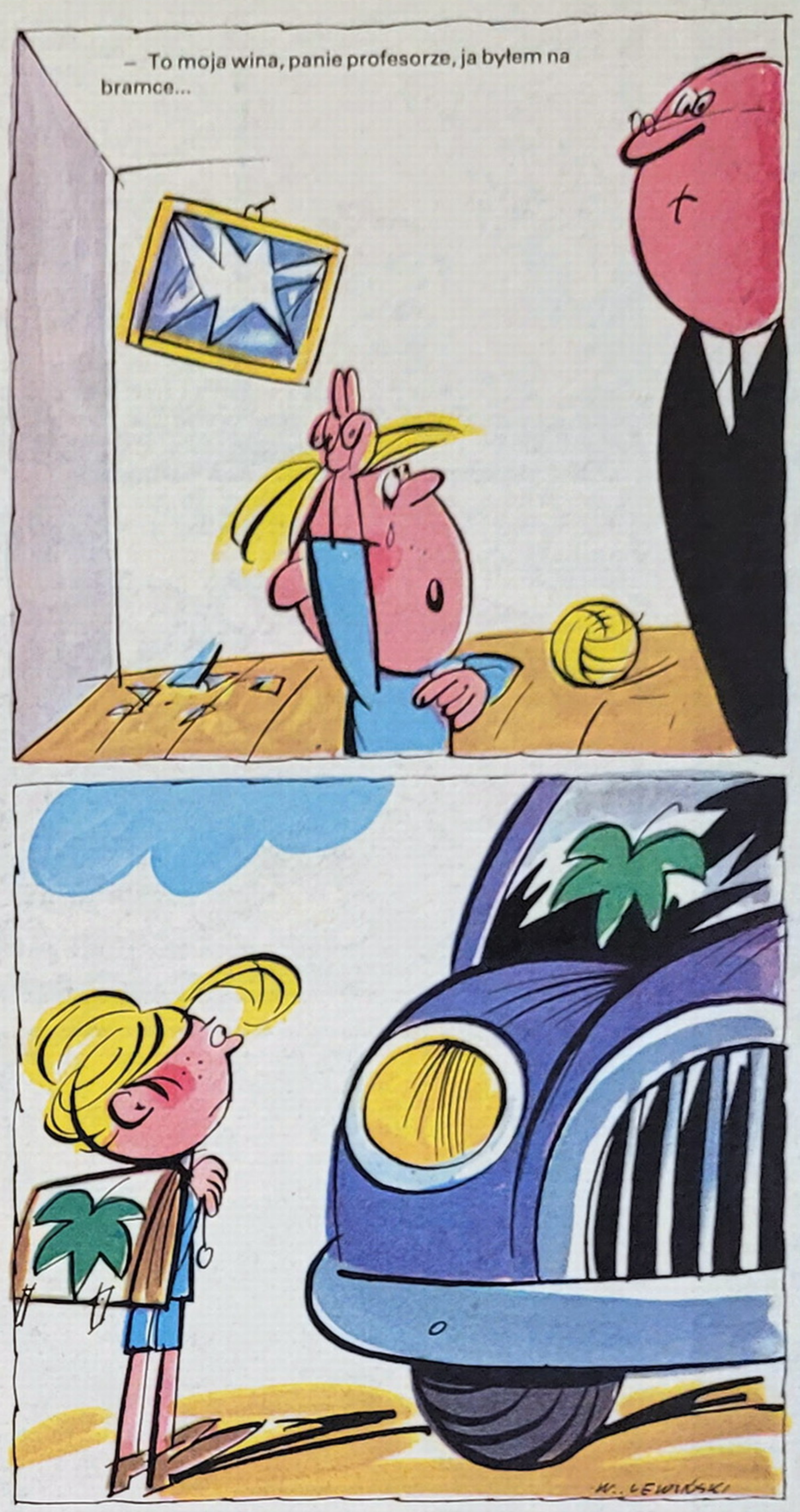

RZEPKLUB

Wpisuję na listę klubu Małgosię Górkiewicz. Oto wyszukany przez nią żart rysunkowy:

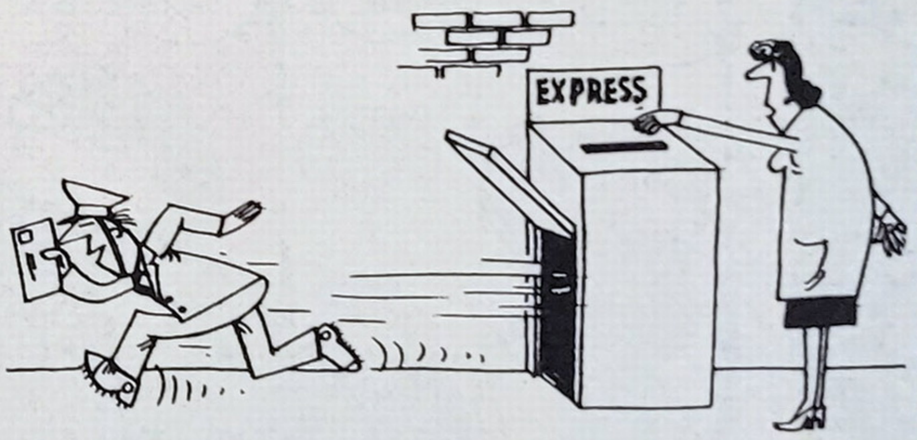

– – –

– No? – powiedział szef.

– To po waszemu – powiedział Fomicz. – Dajcie świecę.

Fomicz stanął przy pulpicie i błyskawicznie osiągnął rezultat. Prąd popłynął. To był remis. Z wynikiem 1:1.

Nie wiadomo skąd zjawił się Lisocki. Podszedł do Fomicza i czule objął go za ramiona. Fomicz podskoczył ze strachu.

– A-ja-jaj – powiedział Lisocki. – Jak wam nie wstyd, koledzy? Nie wypada tak przyjmować gościa. Gdzie nasza słynna leningradzka gościnność?

– Ja nie piję – cicho powiedział Fomicz.

– Piotrze, czy jest hotel dla naszego gościa? – zapytał mnie Lisocki.

– Przecież on jest z Kogutków, a nie z Paryża – powiedziałem. – Spróbuj załatwić mu pokój.

– Biorę to na siebie – powiedział Lisocki.

– A tymczasem podkowa dalej dawała prąd. Któryś z laborantów po cichu podłączył do niej żarówkę. Żarówka oczywiście zaczęła świecić. Szef usiadł na krześle i otarł czoło tą samą chusteczką, przez którą trzymał podkowę. Sasza Rybakow zmierzył napięcie i oświadczył:

– Dwieście dwadzieścia wolt... A czy są podkowy na sto dwadzieścia?

– Dlaczego nie? Są. – odparł Fomicz.

– Nie trzeba – ledwie dosłyszalnie wyszeptał szef.

– Drogi gościu – powiedział Lisocki – Zaraz załatwimy panu hotel, odpocznie pan, a jutro będziemy kontynuować prace badawcze.

– Co tu jeszcze badać? – zdziwił się Fomicz.

– Mogą się ujawnić uboczne efekty – wymijająco powiedział Lisocki. – Poza tym konieczne jest uzasadnienie teoretyczne.

– To już zrobił Brumm – powiedziałem. – Cała rzecz w czorcie. Albo w szatanie.

W tym momencie Lisocki wyprowadził Fomicza. Fomicz zdążył rzucić mi niespokojne spojrzenie, ale musiałem przecież pisać sprawozdanie z delegacji.

– Pietia, zlikwiduj ten iluzjon – powiedział szef umęczonym głosem.

– Nic na to nie poradzimy. Pali się – rozłożyłem ręce.

– Ha! – krzyknął ze swojego miejsca Rybakow.

Szef zerwał się na nogi i cisnął żarówkę do metalowego pudła. Tam szczęśliwie wybuchła. Szefa kopnął prąd od podkowy. To był niezły argument. Ale szef nie wziął go pod uwagę. Jak to mówią, szefa poniosło.

– Pietia – zaczął głośno. – Zebym ja tego Fomicza więcej na oczy nie widział. I podków także. Zrób mi tę przyjemność. Na tydzień zwalniam cię z innych obowiązków. Pokaż jajo kulibijskie, zaprowadź do Ermitażu. Do cyrku, do wesołego miasteczka, na basen. Gdzie tylko sobie życzysz!

– A efekt Brumma? – zapytałem.

– Wypluj to słowo! – wrzasnął szef. Jego spojrzenie padło na podkowę, zaryczał jak ranny lew i skoczył jak tygrys. Nigdy nie przypuszczałem, że szef jest takim siłaczem. W ciągu sekundy rozgiął podkowę i wrzucił ją do tego samego pudła. W ślad za podkową poleciała świeca. Szef wyjął z fiolki tabletkę i wsunął ją pod język. Pomyślałem, że jeśli teraz szef umrze na atak serca, winien będę ja, a nie Brumm. Dlatego rakiem wycofałem się z laboratorium.

PODEJMUJEMY

Następnego dnia odbył się benefis Fomicza w laboratorium Lisockiego. Lisocki przybiegł na katedrę z samego rana, co nie zdarzyło się od lat. W ręku trzymał worek z podkowami. Zapewne wyżebrał je pomimo wszystko. Znowu na szczęście. Sądząc z ilości podków szczęścia powinno teraz Lisockiemu wystarczać do roku dwutysięcznego.

– Piotrze Nikołajewiczu – zwrócił się do mnie Lisocki – ulokowałem Smirnego w Hotelu „Leningrad". Niech go pan przywiezie, bo niedługo przyjdzie korespondent.

– Jaki korespondent? – zapytałem.

– Z gazety – wyjaśnił Lisocki.

Wzruszyłem ramionami, ale po Fomicza pojechałem. Fomicz stęsknił się za mną. Omal mnie nie ucałował. W apartamencie hotelowym umeblowanym w stylu fińskim na wysoki połysk wyglądał jak leśny diabeł w celofanie. Fomicz siedział przed wielkim na całą ścianę lustrem i przygładzał brwi. Bez rezultatu. W czasie tego zajęcia rozmawiał sam ze sobą.

Cdn.

TYTUS, Romek i A'TOMEK

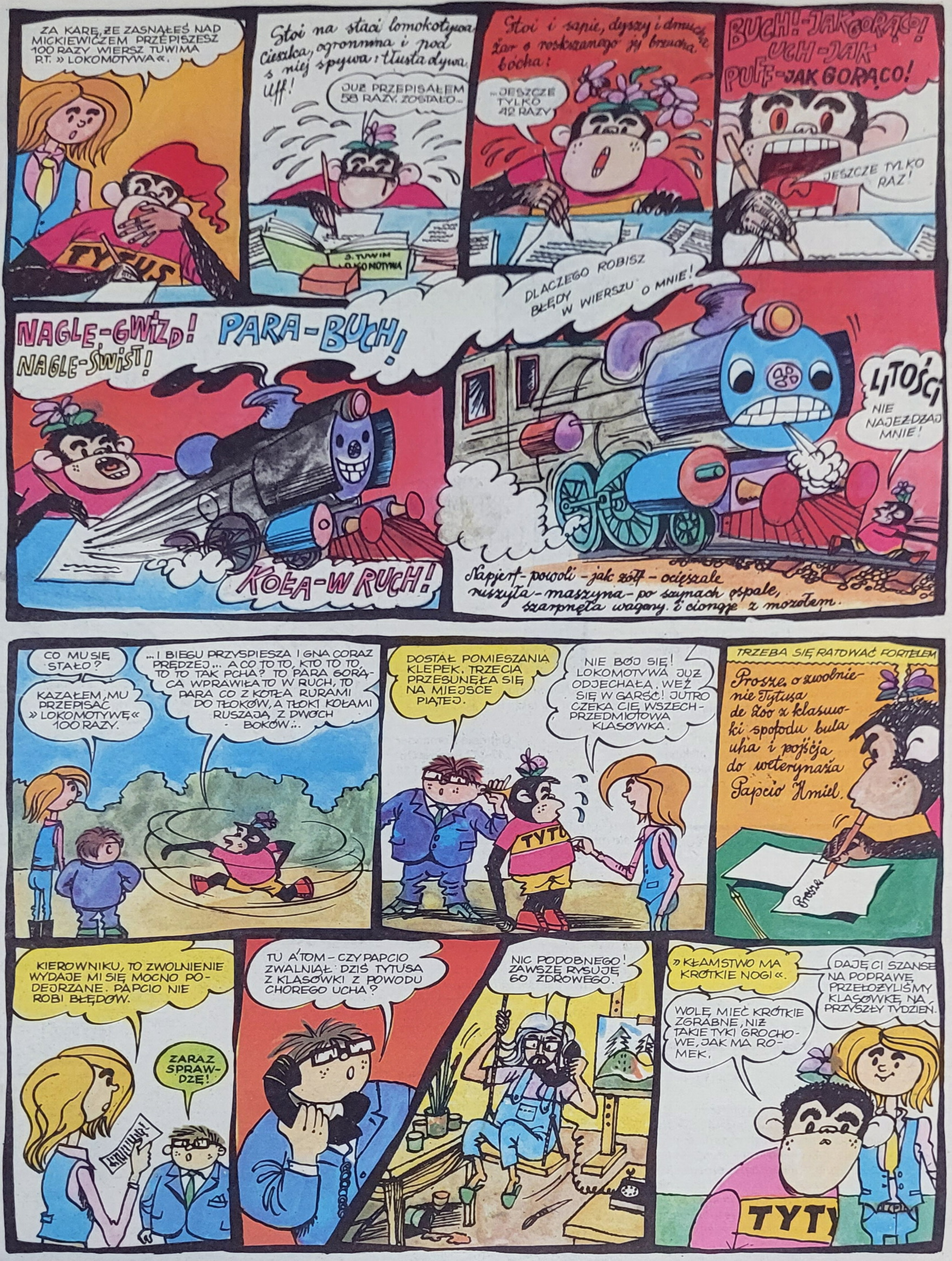

TEKST I RYSUNKI PAPCIO CHMIEL

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Grażyna Klechniowska

Redakcja techniczna
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Zam. 5890/G **S-13**

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

– Dobrze, przekonałeś mnie! – powiedział przewodniczący, kiedy zrobiłem aluzję do nagrody Nobla. – Będzie nagroda – zbudujemy oborę.

– Za tę nagrodę można pawilon dla słoni zbudować – powiedziałem.

– A po co nam słonie? – nie zrozumiał przewodniczący.

– Zamiast kogutów – powiedziałem. – Nauczycie je piać nad ranem.

Przewodniczący spojrzał na mnie z zainteresowaniem. Zrozumiałem, że się potężenie wygłupiłem. Tak ze mną często bywa. Dlatego postanowiłem naprawić błąd.

– Tak w ogóle to słonie wykorzystuje się w Indiach jako siłę pociągową.

– Przecież cały nasz urodzaj pójdzie na paszę! – powiedział przewodniczący. – A ile kosztuje słoń?

Już byłem niezadowolony, że zacząłem tę rozmowę o słoniach. Po prostu nie wiedziałem jak się wykręcić.

– Słonie trudno dostać. Są tylko z importu – uspokoiłem przewodniczącego.

Przewodniczący od razu utracił zainteresowanie tematem i wypisał Fomiczowi jakieś dokumenty na wyjazd. Na koniec poprosił, żeby Fomicz nauczył pastuszka Kolkę jak się naświetla krowy.

Dzień zszedł na przygotowaniach do podróży. Wzięliśmy aparaturę Fomicza, żeby zachować czystość eksperymentu. Żona Fomicza dała nam suszonych grzybów i powiedziała:

– Trzymaj się tam, Wasiuta!

I ruszyliśmy w drogę.

Kiedy przybyliśmy do miasta, Fomicz cały się zjeżył. Przeszliśmy obok Pałacu Kultury. Ale na tablicy „ci, którzy są hańbą naszego rejonu", fotografii Fomicza już nie było. Fomicz uśmiechnął się...

Do Leningradu przyjechaliśmy rano i natychmiast zaciągnąłem Fomicza do Instytutu. Fomicz bez przerwy spozierał na boki i tulił do piersi woreczek z podkowami. Dwa razy wyjmowałem go spod kół transportu miejskiego. Raz Fomicz wyjął mnie. Ale to był przypadek.

Szliśmy korytarzem obrastając z tyłu ogonem ciekawych. Przy wejściu do laboratorium przypominało to już kometę. Jądro komety stanowił Fomicz i ja.

Wepchnąłem Fomicza do laboratorium, wszedłem sam i oznajmiłem jak na przyjęciu dyplomatycznym:

– Pozwólcie, że przedstawię wam Wasilija Fomicza Smirnego.

Szef właśnie udzielał konsultacji studentce. Siedział do nas plecami. Po wyrazie twarzy studentki zrozumiałem, co się dzieje z szefem. Oczy jej zrobiły się jak spodki i wyszeptała:

– To może lepiej przyjdę innym razem...

Szef powoli odwrócił głowę, Sasza Rybakow zdjął okulary i przetarł szkła. Odbyła się niema scena, jak w „Rewizorze". A Fomicz powiedział:

– Pamięta mnie pan? To ja pisałem o Brummie.

– Pamiętam – powiedział szef. – Pamiętam bardzo dobrze.

PODEJMUJEMY FOMICZA

Publiczność zasiadła półkolem jak na stadionie i szef z Fomiczem przystąpili do rozgrywki. Zaczął szef. Asystował mu Rybakow. Ja występowałem jako sąd wojenny. Nie bardzo wiem co to takiego. Podobno tak się mówi.

Szef ujął podkowę przez chustkę do nasa i zamocował. Przylutowaliśmy kable i tak dalej. Podgrzał. Oczywiście żadnego rezultatu.

Dokończenie na str. 7